

Janina Grudzińska ur. 1927; Lublin

Tytuł fragmentu relacji	Rodzina i dzieciństwo
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin, dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	Lublin, dwudziestolecie międzywojenne, ulica Lubartowska, ulica Dawna, Wieniawa, ulica Czwartek 3, szkoła, warunki życia, rodzina, dzieciństwo, śmierć Józefa Piłsudskiego

1. Rodzina i dzieciństwo

Urodziłam się w Lublinie w szpitalu żydowskim. Ponieważ w tej dzielnicy miasta gdzie ja mieszkałam był tylko jeden szpital, w którym było położnictwo. I dlatego ja byłam urodzona w tym szpitalu żydowskim na Lubartowskiej, no i dlatego też, że tam mama moja pracowała, tam w ogóle personel był polski. Do 1938 roku mieszkałam na Lubartowskiej. Uczęszczałam do szkoły podstawowej numer 6 na Czwartek. W 1938 roku przeprowadziłam się z Lubartowskiej na Wieniawę z uwagi na to, że mieszkanie, które było służbowe w szpitalu trzeba było opróżnić i musieliśmy się stamtąd wyprowadzić. Nie było łatwo o mieszkania w tamtych czasach i wyprowadziłam się na ulicę Dawną, to jest boczna Kardynała Wyszyńskiego a dzielnica Wieniawa. Później mieszkałam drugi raz na Lubartowskiej. Przerzucili nas z Wieniawy znowu na Lubartowską, bo zrobili tam później wstęp tylko dla Niemców. Nie było wolno Polakom mieszkać na Wieniawie na ulicy Dawnej. A w miejscu gdzie z Kardynała Wyszyńskiego skręca się na Czechowską, po obu stronach na chodniku zrobili taki murek z cegieł i kogo chcieli to przepuścili a kogo nie chcieli to nie przepuścili.

Gdy przed wojną mieszkałam na Lubartowskiej to było parę kroków do szkoły na Czwartek a później jak już mieszkałam na Wieniawie, to nie przerywałam szkoły tylko z Wieniawy chodziłam do szkoły na Czwartek. Zimą, latem chodziłam na piechotę tyle kilometrów przez całą ulicę Północną, przez śnieg przez łąki. Najgorzej było w zimie jak śnieg zasypał i trzeba było brodzić po tym śniegu. A szkoła to była trójka i szóstka razem w jednym budynku, oficyna to była szkoła numer 6, a frontowa od Czwartku to była szkoła numer 3 pod wezwaniem Bolesława Chrobrego. Siedziałam z Żydówką w jednej ławce, bo to była grzeczna dziewczynka, taka jedna z grzeczniejszych. Jak była religia żydowskie dzieci nie wychodziły z klasy tylko siedziały cicho i spokojnie.

Gdy mama urodziła piąte dziecko, ja byłam najstarsza w rodzeństwie, musiałam wszystko pomagać mamie bo ciężko było, był chłód, głód, różnie było. Pamiętam, że mnie raz wysłała po chleb, bo były braki chleba. A mama miała kuzynkę taką co mieszkała w Jakubowicach za Choinami i mówi: - „Janka byś poszła tam może do niej chleba byś przyniosła bo przecież mało chleba mamy w domu”. To było w zimie, mróz siarczysty, w taką chustkę pluszową mnie oplotła, ja tak poszłam na piechotę do tych Jakubowic po ten bochenek chleba. Tego chleba nie zapomnę do końca życia. Skostniały mi ręce i nogi, bo był taki mróz. Ale wiedziałam, że jest rodzeństwo, że nie ma co jeść, nie umiałam odmówić matce.

Mój ojciec był cieślą. Kiedyś nie było takiej budowy jak teraz że murują, przedtem ciesielka była, domy były stawiane z drzewa, niskie parterowe. Później ojciec się załapał do jakiejś tam firmy już nie pamiętam i był we Francji w parlamencie. Pojechali z tą firmą

polską tam coś budować, ale Polacy się popisali, zaraz awantura pijacka i wygonili ich z powrotem do Polski, i tyle się tam napracował we Francji. Ojciec lubił sobie wypić i to było problemem w naszej rodzinie. Ja to wszystko przeżywałam bardzo. Szkoda mi było matki, bo widziałam jak się męczy, jest bezradna i później przecież nie mogła pracować. Także ja nie miałam wesołego dzieciństwa z tego co pamiętam i to mi już zostanie do końca życia. Pamiętam sytuację, że do tego domu, jeszcze na Wieniawie jak mieszkaliśmy, to przyszedł jakiś szwab, a mój ojciec świętej pamięci to był cykor, on się bał tych szwabów, i namówił ojca, że ma wino do sprzedania. Matka ostatnie grosze mu dała, a to była zwykła woda zakorkowana i zalana.

Z dzieciństwa pamiętam jeszcze pogrzeb Piłsudskiego, byłam w pierwszej klasie, każde dziecko żałobę nosiło. Była taka piękna piosenka o Piłsudskim - „To nie prawda że Ciebie już nie ma”, pamiętam słowa – „To nie prawda że ciebie już nie ma, to nie prawda że jesteś już w grobie, chociaż płacze dziś cała polska ziemia, cała polska ziemia w żałobie. Już usnąłeś po trudach nadludzkich, nie zwycięży już ciebie ból żaden ukochany marszałku Piłsudski. My żyjący pójdziem twoim śladem”. Piękna piosenka, piękna melodia. W pierwszej klasie byłam jak on umarł, nie było telewizji, tylko w tym domu, co wtedy mieszkałam jeszcze na Wieniawie, to w jednym mieszkaniu tylko było radjko i z tego radjka się dużo rzeczy słyszało, a to był rarytas radio w mieszkaniu przed wojną, rarytas!

Data i miejsce nagrania	2010-03-29, Lublin
Rozmawiał/a	Piotr Lasota
Transkrypcja	Karolina Lasota
Redakcja	Piotr Lasota, Karolina Lasota
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"

Janina Grudzińska ur. 1927; Lublin

Tytuł fragmentu relacji	Z Wieniawy wywozili Żydów na Majdanek
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin, II wojna światowa
Słowa kluczowe	Lublin, II wojna światowa, Wieniawa, Żydzi, holokaust, obóz koncentracyjny na Majdanku, łapanka na Wieniawie, ulica Lubartowska

2. Z Wieniawy wywozili Żydów na Majdanek

Gdy mieszkałam na Wieniawie moja mama była z piątym dzieckiem w ciąży. W maju 1940 roku była taka tragedia, że stamtąd pierwszych ludzi wzięli na Majdanek. Jak Majdanek wykończyli, bo to przecież Niemcy postawili te baraki całe, w których ci więźniowie siedzieli, to później Niemcy zrobili taki kocioł na Wieniawie, o godzinie czwartej rano wszystkich nas pobudzili, nie wiedzieliśmy co się dzieje, nie wolno było nikomu z mieszkania wyjść, okna obstawili karabinami. Od ulicy Kardynała Wyszyńskiego aż po Aleje Racławickie i Aleje Długosza, tam gdzie jest szkoła teraz osiemnastka i te inne szkoły, i Saski Ogród był całkiem obwarowany. Jak już tamte baraki na Majdanku były właśnie postawione, to nas brali wszystkich w grupę i kazali nam wszystkim wychodzić. A ojciec pracował na kolei w tym czasie, bo ojciec mój był cieślą. Jak coś tam robili na kolei i chciał iść do pracy, to rano musiał wyjść z domu i też go zatrzymali, nie puścili go, i już do domu nie wrócił, tylko matka z czworgiem dzieci została sama. Matka za dwa dni urodziła piąte dziecko i zostaliśmy w domu z matką. Później oni wszyscy nas z tego kotła ściągnęli na dół. Tam takie było miejsce gdzie był rynek na Wieniawie i też nas obstawili, nikt nie mógł ani wejść do nas, ani przyjść. Ojciec wtedy jak zobaczył, że my idziemy tam na dół, podszedł do Niemca i mówi – „To jest moja familia”, a ten go tam kopnął i odrzucił, nie pozwolił nawet mu dokończyć. Zebrali od wszystkich kto miał zaświadczenia do pracy, ja też miałam takie świadectwo, że się zgłosiłam, że chce pracować, że w tej chwili nie ma pracy, ale jestem zarejestrowana. I czekaliśmy wtedy do godziny drugiej, potem przyjechali zaczęli nam rozdawać te nasze papiery, które od nas wzięli. Ci ludzie, którzy nie mieli papierów, nawet dzieci takie w wieku czternaście, piętnaście lat, wszystkich wzięli na platformę i pierwsi więźniowie z Wieniawy pojechali na Majdanek. Dlaczego wzięli najpierw Wieniawę to nie mam pojęcia, bo przecież mogli się innej dzielnicy przyczepić. Nie patrzyli na to tylko, że mama w ciąży była, też miała wtedy zaświadczenie ze szpitala, że tam pracuje i to nam uratowało życie po prostu, nie pojechaliśmy wszyscy na Majdanek. Parę tygodni po tym jak naszych Polaków tam zamknęli, to później skąd oni tych Żydów nabrali to ja nie mam pojęcia. Dzień w dzień na tą Wieniawę przychodziło setki Żydów w pasiakach jako więźniowie i rozbierali te domki żydowskie, wszystko rozebrali i tą bożnicę rozebrali, nic nie było. W międzyczasie oni się strasznie znęcali nad tymi Żydami, gdy któregoś zabił tam przy tej pracy, to ci pozostali co szli, to dał im taką skrzynkę zbitą z takimi uchwytami czteroma, że można tam było kogoś wsadzić i nieść. I ci Żydzi, ci robotnicy właśnie, którzy tam już kończyli, wracali z Wieniawy na piechotę na Majdanek, nieśli jeszcze tego kolegę na ramionach aż tam do pieca, taki kawał drogi. To był okropny widok i oni się z tym nie kryli.

Na Lubartowskiej był rabinat, tak jakby uniwersytet żydowski gdzie się uczyli studenci Żydzi, no bardzo gęsto ich było na ulicach, wszędzie, no i mieszkańców też było masę.

Cały ten krąg od ulicy Ruskiej do Unickiej i cała góra Lubartowskiej to było żydostwo. I w tym czasie tam były pobudowane takie domki, nie piętrowe, nie dwupiętrowe tylko takie parterowe. Na Wieniawie był kierkut żydowski i jedna bożnica była na całą tą dzielnicę. To była taka duża jedna bożnica i też tam był taki duży plac, gdzie sami Żydzi mieszkali właśnie w takich parterowych i przeważnie drewnianych domkach. No i to tak było dokąd Niemcy nie przyszli, nie zburzyli tego wszystkiego. I na kierkucie, gdzie domek jeden taki stoi jak na kurzej nóżce, to mojego kolegi domek, Tkaczyka, został jeden jedyny, a wszystkie te pozostałe z ulicy Dawnej zostały rozebrane, zniszczyli wszystko, jedna ziemia tylko była. Gdy bawiłam się z innymi dziećmi na górze za domem widziałam jak gestapowcy prowadzą Żyda, jeden wprowadził go tam na ten kierkut, przy nas strzelił do niego jak do psa, zabił go i kazał czterem go stamtąd zabrać. O takie widoki pamiętam. Byłam na Majdanku już po wyzwoleniu dwa czy trzy tygodnie żeby zobaczyć, to widziałam stosy trupów leżących w tych dołach, nie zakryte nawet ziemią, bo Niemcy nie zdążyli już ich spalić. Słyszało się, że Polacy ukrywali i ratowali Żydów, ale o tym oficjalnie się nie mówiło. Ukrywali przeważnie po wsiach, gdzie były takie bardziej osamotnione gospodarstwa, bo bali się żeby jeden drugiego nie oskarżył. Ale Niemcy zabierali nie tylko Żydów, ale i Polaków, Polaków też wyginęło bardzo dużo. Każdy bał się o siebie żeby go nie zabrali.

Data i miejsce nagrania	2010-03-29, Lublin
Rozmawiał/a	Piotr Lasota
Transkrypcja	Karolina Lasota
Redakcja	Piotr Lasota, Karolina Lasota
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"

Janina Grudzińska ur. 1927; Lublin

Tytuł fragmentu relacji	Wybuch wojny – chowaliśmy się w ziemiankach
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin, II wojna światowa
Słowa kluczowe	Lublin, II wojna światowa, bombardowanie Lublina, ulica Północna

3. Wybuch wojny – chowaliśmy się w ziemiankach

Jak wybuchła wojna, to ja mieszkałam na ulicy Dawnej, na Wieniawie. Usłyszeliśmy alarm i już nas przygotowali -w szkole każdy mówił, że jak będzie alarm, to trzeba maski gazowe z mydłem na twarz przyłożyć. W mieszkaniu mieliśmy przygotowane kilkanaście kawałków gazy. Nie mydliło się jej przed czasem tylko kiedy usłyszeliśmy samoloty to wtedy wszyscy jak jeden mąż do tej gazy, mydliliśmy ją i przykręcaliśmy do ust. Jednak o gazie nie było mowy, żadna bomba gazowa nie upadła, tylko upadły te bombardujące, które niszczyły wszystko, paliły. Pamiętam był taki parterowy dom na Krakowskim Przedmieściu, tak zwany Dom Poznańskich. Stoi tam do dnia dzisiejszego, teraz jest tam jakaś przychodnia, a wtedy sprzedawali tam ubrania sprowadzane z zagranicy. To tam poleciała pierwsza czy druga bomba. I ulica Kapucyńska w stronę teatru była bombardowana całkowicie, tam teraz jest pusty plac. Dworzec też był bombardowany. Po pierwszym czy po drugim bombardowaniu wystraszyliśmy się i uciekliśmy na ulicę Północną do wujka. Północna to była wiocha, domy strzechą okryte i tu mojej mamy świętej pamięci brat mieszkał, miał gospodarstwo, krowy, konia, tak jak każdy rolnik. Z zawodu był kowalem, ale ożenił się z dziewczyną, która miała to gospodarstwo. I my uciekliśmy tam do niego, bo to było trzeba tylko kawałeczek przez łąkę przejść i przez taki rów, a Czechówka wtedy miała szerokość stołu i była płytka. Tam między domami był taki okropny, duży i bardzo głęboki wąwóz. Mój ojciec i jeszcze kilku mężczyzn, bo tam kilka rodzin uciekło, kopali tak zwane ziemianki, takie dołki. Tam koczowaliśmy w tych dołkach po trzy, po cztery osoby. Przyłot samolotów poprzedzał alarm. Gdy się zbliżały samoloty na Lublin, to zawsze alarmowali nas. Sygnał leciał z dworca kolejowego czy skądś i wtedy wszyscy uciekali gdzie mogli, nie patrzyli gdzie, aby tylko się schować i aby nie w centrum miasta, bo każdy mówił, że miasto będą bombardować. I w tych ziemiankach nieraz przesiedziało się po pół dnia, bo jedne samoloty ochodziły, drugie przylatywały i zmieniały się. Na Chełm jak leciały całą noc, czy stamtąd od szwabów, to też przez Lublin przelatywały. Także te takie najgorsze chwile podczas 1939 roku to właśnie tam na ulicy Północnej przeczekaliśmy. Jak Niemcy zdobywali Lublin to zmarnowali też kilka gospodarstw, bo strzelali, nie oszczędzali, paliło się wszystko i właśnie ten wujek się też spalił, to znaczy tylko inwentarz uratował, a budynki poszły z dymem.

Data i miejsce nagrania	2010-03-29, Lublin
Rozmawiał/a	Piotr Lasota
Transkrypcja	Karolina Lasota
Redakcja	Piotr Lasota, Karolina Lasota
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"

Janina Grudzińska ur. 1927; Lublin

Tytuł fragmentu relacji	Ulica Lubartowska w okresie okupacji
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin, II wojna światowa
Słowa kluczowe	Lublin, ulica Lubartowska 55, holokaust, Żydzi, warunki mieszkaniowe, warunki sanitarne

4. Ulica Lubartowska w okresie okupacji

Kiedy mieszkałam na Wieniawie, Niemcy wykończyli więcej baraków na Majdanku, i żeby zapęlić te baraki to wszystkich mieszkańców Żydów wywalili na Majdanek z Lubartowskiej.

A z Kośminka musieli wszystkich mieszkańców gdzie przenieść, bo tam był internat, który był potrzebny do budowy pod baraki. I ich wsadzili na Lubartowską po tych Żydach, po żydowskich mieszkaniach. Później jak Żydów wykończyli i zrobili więcej miejsca na baraki, to tych Polaków, co ich przeprowadzili z Kośminka i z tamtych dzielnic, znowu przenieśli z powrotem tam na ich mieszkania. Gdy przeszliśmy z Wieniawy na Lubartowską 55 to nawet kuchni do gotowania nie było, nawet licznik był wyrwany, bo Polacy wszystko do siebie tam zanieśli z tej Lubartowskiej. Także znowu od zera wszystko zaczynaliśmy i nie było wesoło wcale. Pamiętam ojciec lepił z gliny i z cegieł kuchenkę żeby było na czym gotować. To mieszkanie, które dostaliśmy miało trzy duże pokoje, z jednego zrobiliśmy kuchnię, to było mieszkanie po jakimś rabinie. Nie było łazienki, był tylko zlew przy kranie. Była tylko jedna ubikacja, no i do tej pory jest ta ubikacja na Lubartowskiej, tylko że po remoncie porobili też w mieszkaniach ubikacje. Nie było kanalizacji, do rynsztoka nieraz się wylewało brudy. Był brud smród i ubóstwo. Obecnie ulica Lubartowska zmieniła się, jej wygląd się zmienił, ludzie się zmienili i wszystko się zmieniło, na lepsze oczywiście. Bo teraz nie widzi się żeby do rynsztoku wylwane były jakieś brudy, pomyje czy coś, a przedtem jak nie było podwórka no to gdzie miał człowiek wylać. Nie było ani odpływu, ani ubikacji, tak jak mówiłam była tylko jedna ubikacja, a do ubikacji nie będzie łat jakichś pomyj ze zmywania, była tragedia po prostu. Pamiętam za szpitalem tym żydowskim było takie podwórko gdzie moja koleżanka mieszkała, tam była taka ubikacja, że człowiek nie mógł wejść do niej bo się deski ruszały, i jakby nie stanął we właściwym miejscu to by poleciał w to wszystko. Nikt nie dbał o jakieś porządki czy estetykę. Byli dozorczy, też Polacy przecież, bo Żyd nie sprzątał ulicy, tylko mówił – „wasze ulice a nasze kamienice”. I tak było rzeczywiście, ich były kamienice, prawie wszystkie kamienice były żydowskie z wyjątkiem kilku.

Data i miejsce nagrania	2010-03-29, Lublin
Rozmawiał/a	Piotr Lasota
Transkrypcja	Karolina Lasota
Redakcja	Piotr Lasota, Karolina Lasota
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"

Janina Grudzińska ur. 1927; Lublin

Tytuł fragmentu relacji	Pracowałam w Deutsches Haus, a później w Ogrodzie Saskim i na Lubomelskiej
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin, II wojna światowa
Słowa kluczowe	Lublin, Deutsches Haus, praca, partyzanci, Ogród Saski, ulica Lubomelska

5. Pracowałam w Deutsches Haus, a później w Ogrodzie Saskim i na Lubomelskiej

Gdy byłam jeszcze nieletnia, nie miałam 16 lat, starałam się już o pracę, Żeby nie pojechać do Niemiec, to mi znajoma załatwiła u księgowego i mnie zatrudnili w Deutsches Haus, oczywiście do kuchni, do zmywania naczyń, bo co innego mogłabym robić w tym wieku. Pewnego wieczoru był tam napad. Przyszli partyzanci i zaczęli strzelać do szwabów, a tam też była obsługa polska i kelnerzy Polacy, cała kuchnia to byli Polacy. Jeden z tych kelnerów wyskoczył z sali i mówi - „Uciekajmy bo strzelają partyzanci”. Strachu się najadłam, godzina jedenasta w nocy i trzeba było uciekać. W tym Deutsches Haus Polacy mieli swoją stołówkę, a Niemcy swoją. I do tej stołówki polski personel przychodził na obiady, śniadania i kolacje. Pamiętam taki moment - koleżanka stała przede mną, a ta która nas obsługiwała, to była służaczka i ona nabierała zupę, a na tej chochli w zupie była bardzo ładna kość i ona tą kość zabrała, ale później się zastanowiła i wyrzuciła ją. A ta dziewczyna, która widziała, że to miało iść do jej talerza, oburzyła się i zaczęła jej pyskować. A tamta napuściła dyrektorkę Niemkę na tą dziewczynę, na Gienie, że ona zaczęła pyskować jej przy wydawaniu tej zupy. Dyrektorka zadzwoniła po esesmańców, przyszło dwóch czy trzech z psami. A my całowałyśmy po rękach tą Szwabkę, żeby odwołała ich, bo przecież zginęła by dziewczyna, zabrali by ją. Ale ta Szwabka nie była złym człowiekiem, tylko ją napuścili tak. Ja z tą Szwabką pracowałam w Ogrodzie Saskim, bo ona tam miała taką sieć garmazeryjną. I ona była bardzo dobra, a jej mąż był w policji właśnie. My pracę kończyłyśmy o dziesiątej i miałyśmy przepustki nocne. I był taki moment, tam w nocy, że dziewczyny kradły chleb. Między nogami kładły sobie bochenek chleba i wynosiły go, bo to głód był wtedy. I kiedy się przechodziło przez bramę, to jedne stały z jednej strony bramy w środku tam, w podwórku, a kilka nas stało na zewnątrz, na chodniku. A tam jakiś wartownik chodził z latarką i piorun przyszedł aż pod tą naszą bramę. Wystraszyłyśmy się strasznie, on przybliżył się a my się modlimy żeby tylko nie doszedł i nie zobaczył, że ona nam ten chleb przez dziurę w bramie podrzuca, żebyśmy go schowały. I nie wiem czy oślepl czy nie zauważył, czy udał że nie widzi, i jakoś my szczęśliwie ten chleb przemyciłyśmy na tą naszą stronę. Ale ile to było strachu, my byłyśmy sztywne ze strachu, sztywne! Nie mogłyśmy kroku dać, bo tuż tuż był, może pięć metrów od nas, a poszłybyśmy na Majdanek jak nic. Było dużo takich sytuacji, takich drobiazków, które człowiek pozapominał, bo to już tyle lat.

Pracowałam też w Ogrodzie Saskim. Tam była taka drewniana chatka w stylu góralskim, nie pamiętam czy ona już tam była czy ją Niemcy postawili. I tam jak pracowałam naszą kierowniczką była taka miła, sympatyczna starsza pani. Ja tam pomagałam filiżanki myć, kawę nalewałam, bo tam była maszynka do kawy. Była też taka

cukierenka tylko dla Niemców i tam było takie firmowe danie – serdelki na gorąco i sałatka jarzynowa z majonezem. Niemcy przeważnie jedli sałatkę i myśmy się od Niemek nauczyły, bo przecież w Polsce się tego nie robiło. Mąż kierowniczkki zawsze fundował te kiełbaski nam Polakom, a to było też wszystko na kartki, bo oni też mieli jakieś takie kartki żywnościowe. Razem ze mną tam pracowało cztery osoby. I pamiętam raz zrobili przyjęcie dla wikingów. Wikingowie to byli tacy bohaterowie, którzy byli wybrani spośród wojska, wyróżnili się w jakiejś służbie wojskowej. Przeważnie to byli lotnicy z asystentkami. Asystentki to były takie dziewczyny, które latały z nimi na samolotach czy tam pisały, piorun wie co one tam z nimi robiły. Ale przystojni byli ci lotnicy, no i te baby z nimi w mundurach wojskowych. Było tak jak wszędzie na przyjęciach, była orkiestra, kolacja i tańce. Wszyscy wystrojeni, dystyngowani, a tu nalot samolotów wieczorem. Nie bombardowali, ale przelatywały rosyjskie samoloty nad Lublinem i dalej gdzieś leciały. Wystraszyły ich tak wtedy te samoloty, że rozleciało się to wszystko, każdy się pochował. I my uciekliśmy z tego domku, bo myślę sobie, że jak bzyknie tu jakaś bomba to z nas tylko proch zostanie. Później zatrudniłam się w wytwórni farmaceutycznej na Lubomelskiej i tam już cały czas pracowałam, tylko różne etaty były. Byłam w kontroli jakości, byłam laborantką. Zmieniałam swoje czynności, ale nie wychodziłam z tej firmy. Jak ta chemia weszła to już było dla zdrowia szkodliwe. Przez tą wydzielinę, ten opar z chemii dostałam uczulenia, takiego liszaja na skórze, no ale trzeba było coś robić. Później przeszłam do kontroli jakości, to już tam tylko przeglądałam flakony. Teraz to w ogóle jest inna produkcja, przedtem były ampułki, zestawy do przetaczania i pobierania krwi, były płyny infuzyjne, te które w kroplówkach podajemy chorym, tam nawet te butelki się robiło. Była maszyna, która tworzyła butelki później butelka była napełniona płynem i od razu zaklejona, już tylko później szła do przeglądania i do opakowania.

Data i miejsce nagrania	2010-03-29, Lublin
Rozmawiał/a	Piotr Lasota
Transkrypcja	Karolina Lasota
Redakcja	Piotr Lasota, Karolina Lasota
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"

Janina Grudzińska ur. 1927; Lublin

Tytuł fragmentu relacji	Żydzi i Polacy żyli obok siebie
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin, dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	Lublin, dzielnica żydowska pod Zamkiem, relacje polsko-żydowskie, warunki życia, Żydzi

6. Żydzi i Polacy żyli obok siebie

Ulica Ruska, aż do cerkwi to było w ogóle żydostwo. Środek błoni to same budy żydowskie były, aż pod sam Zamek, ze wszystkich stron. Tam było miasteczko w mieście, tak jakby sami Żydzi tam mieszkali. Ludzie tam byli różnego pokroju, ale przeważnie biedota, mało kto był tam wykształcony, inteligentny. Żydzi byli biedni i Polacy byli biedni, po obu stronach, ale wtedy się szanowali no i jakoś łączyło się jedno z drugim. Nie było żadnych zawiści takich jak teraz, że dzielnicami się nienawidzą, w kamienicy się nienawidzą, na klatce się nienawidzą. Teraz egoizm jest okropny, przedtem sobie ludzie pomagali, jakaś była taka wieź międzyludzka. Ja się zżyłam z Żydami. Miałam tą koleżankę Żydówkę, miła i skromna dziewczyna, pamiętam zaprosiła mnie raz do siebie do mieszkania tam na Czwartek. Miała rodzeństwo i też biedni byli, bo jej rodzice balonami handlowali więc co mogli zarobić. Na kiju nawsadzali kilka balonów i tak to się ta sprzedaż odbywała. Także była bieda okropna. Później chleba brakowało a za kaszanką końską to stałam prawie pół dnia żeby kupić. Nie było mowy żeby coś tam dostać, owszem, kto był na wsi, miał swoje świny, zwierzęta, tam z tego korzystał. Do szewca chodziłam też takiego biednego. Była tam gromada dzieci. Żydzi dużo dzieci mieli, po kilkoro, nie tak jak u nas, jedno dwoje. Dzieci były normalnie poubierane tylko zawsze jak to Żyd - usmarkany, zapluty, niedomyty. I Żydzi przeważnie nosili mycki, brody albo pejsy.

Widziałam nieraz jak rabin kiwał się i modlił, a chłopaki, takie łobuziaki ze szkoły, rzucali w okno kamieniem i mówili: - „Kupisz skórę z rabina?”, a ten Żyd ich tak gonił, tak kłął: – „A ty cholero, ty cholero, ty drań ty...!” I sobie nawet nie zdawał sprawy co oni mówią. Chciał mówić po polsku, kaleczył to wszystko i to było śmieszne takie dla nas. Natomiast my też nie mogliśmy tak w ich język wejść, bo to jest trudny język do opanowania przez nas Polaków. Zdarzały się małżeństwa mieszane Polaków z Żydami, ale nie spotkałam takiego małżeństwa, żeby Żyd przeszedł na katolicyzm, tylko przeważnie Polki szły na ich stronę, wyjeżdżały do Izraela. Żydzi szanują się nawzajem, nie ma tam rozwodów, nie ma domu starców, nie ma żłobków, tam uzupełniają się w rodzinach, nie ma tego co w naszych rodzinach jest, tego im zazdroścę.

Data i miejsce nagrania	2010-03-29, Lublin
Rozmawiał/a	Piotr Lasota
Transkrypcja	Karolina Lasota
Redakcja	Piotr Lasota, Karolina Lasota
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"

Janina Grudzińska ur. 1927; Lublin

Tytuł fragmentu relacji	Zawody i święta żydowskie
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin, dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	Zawody Żydów, Żydzi, targ na ulicy Świętoduskiej, potrawy żydowskie, handel, święta żydowskie

7. Zawody i święta żydowskie

Zawody Żydów to przeważnie szewstwo, krawiectwo i handel, handel to pierwsza rzecz. Pół godziny nieraz handlowało się z Żydem: - „Wróć pani to się dogadamy jeszcze, niech pani wróci jeszcze, niech pani zobaczy, ja opuszczę pani, dołożę”. Nieraz jak z matką poszłam to z sześć straganów obeszłyśmy zanim coś kupiłyśmy, bo każdy chciał dla siebie jak najkorzystniej. Takie zawody jak budownictwo czy malarstwo nie były u nich w modzie. Ale była też szycha, która się odróżniała. Pamiętam sekretarza, to była bardzo inteligentna rodzina, inteligencja całą parą, tam po żydowsku nie rozmawiali, tylko po polsku. Ten sekretarz z żoną mieszkali w drewniakum obmurowanym. Czyścusięńko, przepięknie w mieszkaniu, ich służącą była Polka. A ich córka już była dorosła, mieszkała z mężem gdzie indziej. I oni mieli córkę, nazywała się Rutunia, Żydówka, piękna dziewczyna. Ja chodziłam do tej Rutni i bawiłyśmy się. A po drugiej stronie domu, w którym oni mieszkali była kostnica i widziałam jak Żydzi po śmierci leżą. Na posadzce goły leżał, miał taki sienniczek pod głowę, podłożony pod siebie jakiś tam koc i dwie świece stało i cały czas Żyd siedział, pilnował go całą noc. Ja się bałam strasznie tam przechodzić, ale właśnie w ten sposób zobaczyłam, jak chowają Żyda, bo Polacy nie chodzili na ich pogrzeby.

Na ulicy Świętoduskiej był targ i było całe zbiorowisko handlarzy żydowskich. I był jeden sznur jatek żydowskich, a drugi sznur to beki ze śledziami. Te beki były olbrzymie i tych śledzi było pełno. A te jatki to takie przegródki, takie pokoiki. I w każdej tej jatce było albo koszerne, albo wieprzowe, cielęcina, wołowina, różności były. Tam wszystko było, co tylko człowiek chciał, ale forsy nie było i nie było za co kupić. A śledzie to wybitnie Żydzi sprzedawali. Nie było takich ulików czy matiasów jak teraz są, to był śledź taki tylko posolony z wody, trzeba było go obrać, wypatroszyć. Teraz jest wygoda, człowiek przyjdzie, śledzie namoczy w wodzie i przyrządza je, nie potrzebuje się grzebać z tymi ośmi.

Babki, żydówki sprzedawały z żytniej mąki bubale. To było takie ciepłe, nawet dobre to było, teraz to bym się brzydziła, nie kupiła bym tego, a przedtem, jako dziecko, to jadłam bo mi smakowało. Jeszcze takie obarzanki miały na sznurkach w kólecisku. Chodziły i sprzedawały, kupowało się to i człowiek zjadał się tym. No i była maca przecież, my jako dzieci lubiliśmy tą mace, bo to było dobre. Nawet teraz sprzedają tą mace, tylko teraz to jest wiele innych rzeczy dobrych i człowiek o macy nie myśli. A to było takie nie słone, takie jakby kruche, cieniusieńkie plasterki, takie tafle były. W święta u Żydów wszystko koszerne było, wszystko wyczyszczone, nie mogło być krwi, gary były szorowane. Jak ktoś siedział w jakichś brudach to wszystko musiało być wyczyszczone, żeby te święta w czystości upłynęły. Porządek wtedy robili taki, że nawet jeśli się pół roku nie mył to musiał się wyszorować, wykapać i dzieci, i cała rodzina, i całe mieszkanie. Żyd nie zapalił w szabas ognia pod kuchnią, tylko zawsze wołał dać już 2 grosze polskiemu dzieciakowi, chłopakowi albo dziewczynie, żeby podpalił mu ten ogień, tak szanowali święta swoje. Nie

było elektryczności takiej że gotowali na elektrycznych piecykach czy gazowych, tylko trzeba było zapałkę zaświecić. Pamiętam jeszcze z piątku na sobotę to nosiły w takich garnkach, nie wiem co tam było, groch jakiś, potrawy takie zapiekane w piecykach. Kilkanaście rodzin się zbierało i wypiekali, tak, że na sobotę już nawet nie gotowali tylko z tych garnków potrawy jedli podgrzewane, w sobotę już nic nie robili. W każdym razie absolutnie mięsa w potrawach nie było, nie było ani odrobiny wieprzowiny.

Data i miejsce nagrania	2010-03-29, Lublin
Rozmawiał/a	Piotr Lasota
Transkrypcja	Karolina Lasota
Redakcja	Piotr Lasota, Karolina Lasota
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"

Janina Grudzińska ur. 1927; Lublin

Tytuł fragmentu relacji	Wygląd przedwojennego Lublina
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin, dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	Lublin, dwudziestolecie międzywojenne, dzielnica Kalinowszczyzna, Cyganie, ulica Szambelańska, kina w Lublinie, komunikacja

8. Wygląd przedwojennego Lublina

Gdy do Lublina przyjechali Cyganie to osiedlali się nie w centrum miasta, tylko gdzieś na Kalinowszczyźnie. Część mogło zatrzymać się także za cukrownią, bo tam było miejsce. Obozowiska były przeważnie na łąkach, nie w centrum miasta. Cyganki namawiały nas do wróżenia. Ja nie wierzyłam cygankom, ja się ich bałam przede wszystkim. One szczególnie atakowały osoby samotne, które się nie obroniły, nie zorientowały, że ona ich naciągała na to czy na tamto. Podczas wojny nie bywałam na Kalinowszczyźnie, nie miałam takiej możliwości. Byłam ze dwa razy jak mój brat się sprowadził na Kalinowszczyznę, na ulice Lwowską, to była taka biedna dzielnica, jeszcze biedniejsza od Wieniawy. Wtedy Lublin był podzielony na Cukrownię [dzielnica Za Cukrownią], Kalinowszczyznę i Wieniawę. To były takie trzy podstawowe dzielnice gdzie była bidota. I ja tu nie miałam potrzeby przychodzić, bo tu nic nie było, tylko jakaś garbarnia była. Nie było szkół, wierzowców, to wszystko dopiero za Ruskich postawiano.

Za Bramą Krakowską na ulicy Szambelańskiej było bardzo dużo prostytutek. Ja przedtem jeszcze nie wiedziałam co to prostytutka, ale od chłopaków się dowiedziałam, że tam chodzili różni ludzie do różnych tych dziewcząt, że one tak stały na ulicy, że zaczepiały. Ja ich osobiście nie widziałam, ale słyszałam o nich. Tam było też niebezpiecznie, bo każda z nich miała swojego obrońcę, który ją bronił i zresztą dużo pijaków było tam, przeważnie każdy pijany tam szedł. Krakowskie Przedmieście to był jedyny deptak, którym można było pospacerować, gdzie było spokojnie i nic nikomu nie groziło.

Vis-a-vis Kościoła Świętego Ducha była taka cukierenka, w niej były tylko ciasta, lody i słodczyce. Potem w miejscu Deutsches Haus był tzw. „Rutkowski”, tam na dole była kawiarnia a na górze normalna knajpa. Także były dwie instytucje w jednym budynku, gdzie można było wódkę kupić i obiad zamówić. A przy Ogrodzie Saskim gdzie ten domek stoi przed wejściem, to też tam taka jakaś kawiarenka była, także zabytkowy jest ten domeczek. Często chodziłam do kina „Rial” [Rialto], bo były tam tańsze bilety, a droższe kino to było „Apollo”, które w 1939 roku zostało zbombardowane. Przed wojną „Apollo” było przy Staszica, koło Placu Litewskiego, tył hotelu Europa. To było drogie i najładniejsze kino na terenie Lublina, Nie było tego „Wyzwolenia”, nie było tego co teraz jest na Króla Leszczyńskiego. Jeśli chodzi o środek lokomocji to były tylko dorożki i furmanki, no nic innego nie było. Czasem jak ktoś zamożniejszy był to rower miał, a samochodów tam nikt nie wdział do czasów rosyjskich, bo zanim tu Rosjanie przyszli to jeszcze nie było takiej komunikacji.

Data i miejsce nagrania	2010-03-29, Lublin
Rozmawiał/a	Piotr Lasota
Transkrypcja	Karolina Lasota
Redakcja	Piotr Lasota, Karolina Lasota
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"

Janina Grudzińska
ur. 1927; Lublin

Tytuł fragmentu relacji	Kiedy wkroczyli Rosjanie do Lublina musieliśmy opuścić miasto
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin, II wojna światowa
Słowa kluczowe	Lublin, Ukraińcy, wkroczenie Rosjan do Lublina, represje wobec żołnierzy AK

9. Kiedy wkroczyli Rosjanie do Lublina musieliśmy opuścić miasto

W tym niemieckim wojsku było bardzo dużo Ukraińców, oni byli gorsi od Szwabów niż Ukraińcy. Oni przeszli na stronę niemiecką i Niemcy ich umundurowali, i później już przyzwyczajeni wyglądali, nie w takich łachach jak na Ukrainie. I już Niemcowi z ręki jadł każdy jeden, a nad Polakami się bardzo znęcali. Przy cmentarzu na Lipowej były takie baraki parterowe i tam byli Żydzi, Polacy, wszelka narodowość, która podpadła Niemcom i oni się tu wyżywali na nich. Na Lipowej to byli szubrawcy czy Ukraińcy, okropni byli, narznęli bardzo dużo ludzi. Podobno w Bugu ludzie jak ryby pływali na powierzchni, bo już nie miał ich kto chować. Jak był Polak ożeniony z Ukrainką i jak nie przeszedł na stronę ukraińską to zamordowali jedno i drugie, tacy byli. Kiedy wkroczyli Rosjanie do Lublina musieliśmy opuścić Lublin, wyjechaliśmy do Pliszczyny. Jak Chełm zdobywali, to już u nas było słychać jak strzelali. I gdy już w Lublinie miasto było zajęte, przyszedł Ruski i mówi: „Musicie opuścić dom”. Mój ojciec nas wszystkich zorganizował i poszliśmy w stronę Lubartowskiej Rogatki i doszliśmy aż do Pliszczyna, do takiej wsi, do gospodarstwa rolnego jakichś ludzi. Przyjęli nas i tam spaliśmy w stodole chyba ze dwa dni. Później to ucichło, już dobrze się zadomowili w Lublinie więc wróciliśmy. Niektórzy wrócili do ogołoconych mieszkań, bo znaleźli się tacy co kradli, co zabierali. A w tym czasie jeszcze jak Ruskie tu wchodziły do Lublina i zaczęła się ta strzelanina, to wszyscy z tych niemieckich magazynów kradli co mogli do jedzenia i ze szpitali, i z kantyn wojskowych. AK-owcy byli źle traktowani przez Ruskich, bo Rosjanie nienawidzili AK-owców. Na Kamczatkę wysłali Polaków, nawet nie mamy zielonego pojęcia ilu pojechało i nie wróciło już. Mój wujek zginął w Miednoje, bo był przodownikiem w policji, a przodownik to była szczyha przed wojną. Stalin przecież naszych Polaków wymordował w Miednoje, tysiące naszej inteligencji. Przecież tam sama inteligencja poszła, profesorowie, policja, wojsko, oficerowie, wszyscy oni poszli pod młotek.

Data i miejsce nagrania	2010-03-29, Lublin
Rozmawiał/a	Piotr Lasota
Transkrypcja	Karolina Lasota
Redakcja	Piotr Lasota, Karolina Lasota
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"

Janina Grudzińska ur. 1927; Lublin

Tytuł fragmentu relacji	Od tego cudu w Katedrze się zaczęło...
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Lublin, Cud Lubelski, aresztowania zgromadzonych wiernych, „odwilż” w 1956 roku

10. Od tego cudu w Katedrze się zaczęło...

Obraz Matki Bożej z Częstochowy był przenoszony z miasta do miasta, później z mieszkania do mieszkania i właśnie od tego się zaczęło. Komuniści zaczęli zadzierać z naszą religią, chcieli nas ustawiać. Gdy rozeszła się fama po Lublinie, że Matka Boska płacze, że łączy lecą Matce Boskiej Częstochowskiej w Katedrze, musiałam tam pójść i to zobaczyć. Ludzie całymi gromadami chodzili, modlili się tam i to trwało dłuższy czas. A później to się rozeszło po całej Polsce i ludzie się zjeżdżali. Tłumy ludzi przyjeżdżało i komunistom się to nie podobało. I w pewną niedzielę, byłam wtedy właśnie pod Katedrą, policja zaczęła krzyżeć: „Rozejść się! Rozejść się!” Wszyscy podnosiliśmy krzyżyki, książeczki do góry. Później znowu w kościele Kapucynów na Krakowskim Przedmieściu była msza święta, i na tej mszy świętej zaczęli śpiewać „Boże coś Polskę”, a na Placu Litewskim oni zrobili manifest taki swój komunistyczny i zaczęli psioczyć na religię, na księży na to, na tamto. A ten tłum cały z kościoła Kapucynów poszedł na Plac Litewski i zaczęła się kotelmanila. To znaczy nie bili się tylko śpiewali, ci śpiewali pieśni religijne, a ci o komunistach. Ja byłam wszędzie pierwsza, chciałam widzieć, chciałam słyszeć, i też tam się między nimi znalazłam, poszłam z kościoła Kapucynów tam właśnie na Plac Litewski. No i zaczęły się aresztowania. Chodzili za ludźmi i rysowali kreski kredą z tyłu na człowieku. Ci ubowcy po cywilnemu znaczyli ludzi. W między czasie mój szwagier też tam poszedł. On jest krawcem, w mieszkaniu siedzi, zawsze chodził się dotleniać, bo przy tej maszynie mówi, że nie ma powietrza. Też wyszedł jak każdy inny ciekawy gapić się co się dzieje. I mnie się jakoś udało z koleżanką uciec na drugie piętro na Krakowskim Przedmieściu do jakiejś kamienicy, jacyś państwo nas zamknęli, powiedziałyśmy, że łapanka jest. A mojego szwagra zwinęli, najpierw siedział u tych ubowców na Szopena, a później na Zamku rok i trzy miesiące. Siostra moja była wtedy już trzy miesiące w ciąży z drugim czy trzecim dzieckiem. Rok i trzy miesiące siedział za to, że go złapali, a on nie brał żadnego udziału w tych pochodach. Ja darłam się: – „Precz z komunizmem”, bo nie bałam się ich, czułam się jakaś bezpieczniejsza, a on był cicho nie odzywał się, no i go złapali. Siostra moja nawet nie wiedziała o tym. Dopiero na drugi dzień przyszedł jakiś milicjant do siostry i mówi: „Pani mąż jest aresztowany bo brał udział w pochodzie przeciw komunistom”. Dziewczyna się załamała, troje dzieci, ona z czwartym w ciąży, nie pracuje, on jeden pracował, utrzymywał rodzinę. Ja już pracowałam wtedy w wytwórni farmaceutycznej na Lubomelskiej. Przyjął mnie tam do pracy pan magister Zagórski świętej pamięci, a ja miałam szczęście do pracodawców takich kulturalnych i dobrych ludzi. Powiedziałam jaką mam sytuację i poprosiłam pana magistrę, żeby przyjął moją siostrę do pracy. Rodzina szwagra była podła, mieli jakieś swoje pieniądze, bo pracowali, a nawet mu paczki papierosów do więzienia nie posłali, tylko ja z rodziną siostrze pomagałam i szwagrowi paczki zносиłam. Byłam na tej sprawie co szwagra sądzili, i taki

młody chłopak kawaler był też sądzony, i jeszcze jakaś kobieta była. Szwagier mój był krawcem i przez to go wykorzystywali w więzieniu, za darmo im szył. Trzymali go rok i trzy miesiące. Żeby nie ten magister, dyrektor tej mojej wytwórni farmaceutycznej, niech tam z Bogiem spoczywa, to ja nie wiem jak ta siostra by przeżyła, skąd by człowiek miał dać jej pieniądze jak też się nie wiele zarabiał. Później troszkę się zrobiło lżej. W roku 1956 przyszła odwilż, już nie zastrzali tego, że się do kościoła chodzi, że są procesje, bo i na procesje zezwolili. Ci co byli partyjni tym się dobrze powodziło, u nas nikt nie był partyjny i ja nie korzystałam z żadnych usług, nie byłam nigdzie partyjna i nie należałam do żadnej partii, i przeżyłam, i do tej pory jeszcze Pan pozwolił chodzić po tym świecie bożym.

Data i miejsce nagrania	2010-03-29, Lublin
Rozmawiał/a	Piotr Lasota
Transkrypcja	Karolina Lasota
Redakcja	Piotr Lasota, Karolina Lasota
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"

Janina Grudzińska
ur. 1927; Lublin

Tytuł fragmentu relacji	Wybór papieża Polaka i pielgrzymka do Lublina
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Wybór Papieża, przyjazd Papieża do Lublina, przygotowania do wizyty Papieża

11. Wybór papieża Polaka i pielgrzymka do Lublina

W 1978 roku wyszłam na Krakowskie z moją wnuczką i tu przy poczcie słyszę przez głośniki, że papieżem został Polak. Ja wtedy nie wiedziałam jak miałam wrócić do mieszkania, ja w pięć minut przyszedłam z radości. Płakaliśmy wszyscy ze szczęścia, on był autorytetem, prorok naszych czasów, tak to można nazwać. Nie będzie już takiego jak on, nie dlatego, że Polak tylko jako człowiek, przecież on też przeszedł swoje, był w tej kopalni kamieniołomów i przecież w drewniakach chodził. Kiedy w 1987 roku papież przyjechał do Lublina my wszyscy płakaliśmy witając go i rzucając kwiaty, kwiatów było moc na jezdni, ludzi było masę. Nie mogliśmy go wypuścić z naszych uścisków i objęć, była wielka radość. Pamiętam jego pierwszą Msze świętą na Placu Zbawiciela wtedy powiedział: – „Niech zstąpi duch twój i odnowi oblicze ziemi, tej ziemi”. Pamiętam wtedy zadrżały nogi pode mną, łzy leciały mi z oczu jak groch. Czułam taką siłę, moc w tych słowach, że dokąd nie zamknę oczu to będę pamiętała. To nami wszystkimi wstrząsnęło, to nas wszystkich odnowiło, nie tylko ziemię. Ale to idzie w zapomnienie, później znowu swoje było draństwo, łajdactwo, pijaństwo w naszym kraju. Pamiętam z wnuczką byłam na rogu ulicy Głowackiego, bo on tamtędy przejeżdżał i wtedy go pierwszy raz tak blisko widziałam. Nie potrafię radości swojej opowiedzieć, po dziś dzień szanuje go i dokąd żyć będę to będę się modliła o beatyfikację dla niego, bo warty jest tego. Gdy było wiadomo, że Ojciec Święty przyjedzie do Lublina to stroiło się balkony flagami, kwiatami, różne zdjęcia papieża były ponaklejane na szybach. Nie było kamienicy żeby nie była udekorowana. Człowiek wtedy czuł jakby się w innym świecie urodził, że nie w tej samej Polsce. Odczuwało się obrońcę w nim, taką stabilność, to się dało wyczuć u każdego chyba, u każdego na twarzy, w sercu, w duszy.

Data i miejsce nagrania	2010-03-29, Lublin
Rozmawiał/a	Piotr Lasota
Transkrypcja	Karolina Lasota
Redakcja	Piotr Lasota, Karolina Lasota
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"

Janina Grudzińska
ur. 1927; Lublin

Tytuł fragmentu relacji	Stan wojenny
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Stan wojenny

12. Stan wojenny

Gdy władza wprowadziła stan wojenny pamiętam, że ja wtedy nic nie miałam na święta, bo to było jakoś przed świętami. I miałam siostrę, która mieszkała w Kurowie i ona często tam handlowała mięsem i wędlinami, i ja pojechałam do niej, a na Rogatce Warszawskiej ubowcy stali i wojsko z armatkami takimi. Ciarki mnie przeszły, ale byłam w PKSie i pomyślałam sobie, że mnie nie zatrzymają samochodem. Pojechałam do Kurowa i mówię: – „Daj mi coś do zjedzenia, bo ja nic nie mam, nic nie kupiłam, wszystko poginęło momentalnie”. Jak pojechałam do siostry to zaraz siostra mnie zaprowadziła do ogrodu, który należał do Jaruzelskich, taki ładny duży ogród w Olesinie obok Kurowa. A Jaruzelskiego i jego rodzinę podobno wywalili na Sybir, zabrali go jak naszych ziemian tych co mieli różne swoje majątki. Jak przychodzili zomowcy i na wzór tych Ukraińców robili wszystko tak samo, to człowiek się aż wstydzi nieraz przyznać, że się jest Polakiem, że Polak Polakowi taką krzywdę mógł zrobić. Gdyby była jedność w naszym narodzie, to by nie było tego co jest, byłibyśmy krajem wolnym tak jak inne kraje są i umiały sobie poradzić z komunizmem.

Data i miejsce nagrania	2010-03-29, Lublin
Rozmawiał/a	Piotr Lasota
Transkrypcja	Karolina Lasota
Redakcja	Piotr Lasota, Karolina Lasota
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"